NUMER 30. DNIA 27-go LIPCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

ANDRZEJ TOWIAŃSKI.

(Jan Mazurkiewicz: „ANDRZEJ TOWIAŃSKI. Studjum psychologiczne“. Warszawa 1902. Wydanie z zapomogi Kasy im. Mianowskiego,)

Postać Towiańskiego jest dotychczas niezupełnie wyraźną. Książka p. Mazurkiewicza rzuca duże światło na charakter choroby umysłowej mistrza Andrzeja. Autor poznał dzieła Towiańskiego i usiłował zapoznać się z jego życiem.

Andrzej Towiański urodził się w nocy 1. na 2. stycznia 1799 roku, we wsi Antoświńcu o kilka mil od Wilna, w majątku rodzinnym. W pamięci jego, z lat dziecinnych dwa wspomnienia utkwiły mu szczególnie w pamięci: „jednem z nich było jakieś krwawe podanie, krążące o domu jego rodziców...; drugiem stosunek z kilkoma księżmi, bywającymi stale w domu jego rodziców.

Towiański, wychowywał się w atmosferze bardzo religijnej. Po ukończeniu szkół kształcił się na uniwersytecie wileńskim, poczem dostał posadę urzędnika sądowego w starej stolicy Litwy. Po śmierci ojca w 1837 r., przeniósł się na wieś, gdzie zajął się gospodarstwem rolnem i ludem wiejskim.

Poglądy Towiańskiego, były wówczas jeszcze niezupełnie skrystalizowane: był on pobożny, lubił się zagłębiać w tajemniczy świat zagadnień mistycznych, magnetycznych i spirytystycznych. Skłonność do zagłębiania się w sobie, w swoich marzeniach, uczuciach itp. rozwinęła się w nim podczas kilkuletniej ciężkiej choroby oczu jeszcze w wieku młodzieńczym. Pisma mistyka Swedenborga miały na niego znaczny wpływ; Towiański szamotał się ze swojemi myślami, szukał u różnych ludzi wskazówek, nie mogąc znaleść ukojenia.

Na wsi zetknął się z biedą, ciemnotą i przyjrzał się zbliska uciskowi ludu. Sam z natury łagodny, starał się też wpłynąć na sąsiadów, aby dobrze obchodzili się ze swymi poddanymi. Dodatni jego wpływ na włościan był widoczny. Pewnego razu jakaś baba wiejska powiedziała żonie Towiańskiego, że dokazuje on cudów, zmieniając ludzi na lepszych. To odezwanie się prostej wieśniaczki miało decydujący wpływ na przyszłego „mistrza“. Uwierzył on w swoje posłannictwo, uznał się za wysłańca Boga i postanowił działać.

Udał się za granicę do Paryża, gdzie wywarł silny wpływ na Mickiewicza i wielu innych emigrantów. Tam też rozpoczął propagować swoją naukę na większą skalę.

W 1848 roku przez jakieś nieporozumienie, został aresztowany we Francji i miał już być deportowany do Cajenny, w końcu jednak został uwolniony. Wyjechał do Szwajcarji, gdzie mieszkał do końca życia, tj. do roku 1878.

„Nauka“ Towiańskiego, jak teorje wszystkich mistyków, jest niejasną i nieuchwytną; zrozumienie jej utrudnia jeszcze ta okoliczność, że udzielaną była nie wszystkim w stopniu całkowitym. Towiański dla szerszych kół wypowiadał się inaczej, aniżeli dla ciaśniejszych, oddanych sobie zupełnie. Pierwszym mówił, że stoi ściśle na stanowisku chrześcjańskiem, a nawet katolickiem, „że rozwija tylko dalej zasadnicze pojęcia miłości, ofiary, pokory i innych cnót chrześcjańskich“. Twierdził, że miłość jest najwyższem prawem świata, że ogranicza nawet wszechmoc Boga, gdyż nie może on zbawić człowieka, wyłamującego się z pod prawa miłości i ofiary. Miłość, zdaniem Towiańskiego, ogarnia nietylko bliźnich, lecz wszystkie istoty żywe i martwe. „Postęp, ku coraz wyższym szczeblom miłości odbywa się w całej przyrodzie, — na niższych stopniach tworów nieświadomie... na wyższych dobrowolnie z wiedzą osobników.“

Towiański, niedowierzając rozumowi, przeciwstawia mu uczucie. „Rozszerzenie świata chrześcijańskiego zapowiedzianem zostało jeszcze na początku naszej ery... Tymczasem jednak ludzkość niedaleko jeszcze zaszła na drodze do raju... Do naprawy tych stosunków Bóg zawezwał Towiańskiego“.

Dla wybranych „mistrz“ dodawał jeszcze inne poglądy: nie wierzył w piekło i przypisywał nadziemskiemu światu duchów decydujące znaczenie w naszych sprawach. „Wypadek bitwy zależy od wypadku starcia się dwóch kolumn duchów..... Narodami rządzą również duchy“, — przyczem pojmował je w sposób dość materjalny, kreśląc je jako parę, lub obłok.

Dla wybranych określał Towiański wyraźniej swą rolę, nazywając się jednym z średnich ministrów Boga. Autor w twierdzeniu tem słusznie widzi wielką pychę.

Najciekawszą częścią pracy p. Mazurkiewicza jest ta, która obejmuje analizę choroby umysłowej „mistrza“, jednak jako bardziej specjalna, nie może być w krótkiej naszej notatce uwydatnioną.

Wiara we własne posłannictwo, podniesienie swej osoby do godności wysłańca bożego zwichnęły umysłowość Towiańskiego, a raczej były już dowodem patologicznego stanu, który uwidaczniał się jeszcze w tem, że mistrz odczuwając w swej umysłowości obce pierwiastki, które mu podpowiadają i narzucają swoje myśli, — nie czuł się bynajmniej zaniepokojonym, lecz przeciwnie zżył się z tem. Ciągły stan jego podniecenia bez przejść od wysokiego napięcia do wyczerpania i odwrotnie znamionował także chorobę.

Z „doktryny“ Towiańskiego pełną garścią czerpał i czerpie nowy ,,mistrz“ p. Lutosławski.

Pan Mazurkiewicz słusznie odrzuca teorję Lombroso o pokrewieństwie genjuszu i obłędu.

Na zakończenie zaznaczamy jeszcze, że twierdzenie p. Mazurkiewicza, iż genjusz prawdziwy przejawiać się może tylko w nauce i sztuce, a nie w polityce, zupełnie przez autora nie zostało uzasadnione. Nie rozumiemy, dlaczego wielki pomysł polityczny lub wykonanie cudzego pomysłu w niezwykle trudnych warunkach nie jest objawem genjuszu.

Ludwik Kulczycki.

JÓZEF JEDLICZ

Z „Legendy pól“.



Z PADOŁU.

Ach, kiedyż biedne serce przecierpi, zapomni,
I znajdą dom swój wszyscy błędni i bezdomni. —
Do nieba z dziękczynieniem uśmiechną się sami,
Pierś ziemi rodzicielki całując ustami!

Ach, kiedyż martwe krzewy wiatr zwichrzy i pognie
I święta łaska słońca trwożny świat ozłoci,
Dając lśnić białym śniegom rozkwitłych stokroci,
Niecąc jaskrów samotne w uroczyskach ognie!

Ach, kiedyż zadrżą nieme, obumarłe pola
I skończy się żałobna mrocznych dni niewola
I Bóg miłości ziemię nawiedzi błękitną,
A na przydrożu różdżki oliwne zakwitną!

JERZYKI.

Smutek bladą zadumą usypia na łanie.
U drzemiącej, w biel smętną otulonej brzozy,
Czai się lęk — za liście szarpnie niespodzianie
I pełznie w mrok pobudzić sine widma grozy...

Po ogrodach jerzyki migotliwą rzeszą
Przelatują, świegocąc swoją dziwną mową;
Do gniazd pod dymne strzechy z hojnym łupem spieszą.
Wijąc się ponad tonią wstęgą hebanową...

Przyjdzie czas... ptactwo strzechy i gniazda odleci,
Umrze jabłoń... w ogrodzie zmilkną białe pieśni —
I ja odejdę w mrokach wichru i zamieci,
I wszystko się prześpiewa i wszystko się prześni.

EMMA JELEŃSKA

2) Z MIŁOŚCI.

No... Karol! kompromitujesz mnie... Jakże można!... I wie pani — dodał, ściskając jej rękę — to nieprawda, co on mówi. Ot i teraz — wiesz? — jadę do Belgji. Wyobraź sobie! Na uniwersytet.

Weszli do obszernej sali restauracyjnej. Tam stukanie talerzy i sztućców, bieganina lokaji i huk rozmów zlewały się w ogłuszający prawie hałas.

— Siądź tu, Wando — rzekł Karol, przysuwając żonie krzesło — ja się z rzeczami załatwię.

Znikł. A Wanda i Lutek zostali sami w tłumie. Przez chwilę było milczenie. Wanda usiadła i rozpięła żakiet. — Jak gorąco! — rzekła, chcąc zacząć rozmowę.

Ale on nie odpowiedział na to, przysunął sobie krzesło i mówił dalej, jakby nie zaszła żadna przerwa:

— Jadę — dziś jeszcze — zdecydowałem się. Cóż robić! Dokuczali mi wszyscy, że powinieniem być wykształcony. Mama nawet ciągle mi wymawiała, że nic nie robię! Jakby to każdy na świecie musiał zaraz coś robić! Więc jadę. Za to, jak wrócę, będę sobie siedział w Korzewie — gospodarstwem niech się zajmuje mama z Oniczką — a ja zaraz wybuduję sobie ładny pałacyk. Bo teraz, wie pani, po spaleniu się dawnego domu, mama mieszka w oficynie, a tam i ciasno i brzydko. Ja nie lubię tak mieszkać. Ja lubię, żeby koło mnie było ładnie. Prawda, pani, że najważniejsza rzecz to, żeby było koło nas ładnie? Prawda?

Przysuwał się i podnosił ku niej swą ładną twarz, na której fryzowały się młode jeszcze, ciemne wąsiki i błyszczały wypukłe oczy krótkowidza, trochę mgliste i ruchliwe.

— Prawda, pani? — powtórzył, patrząc wciąż na nią.

— O tak — odpowiedziała — któżby nie lubił ładnych mieszkań! Miłe otoczenie — to tak życie upiększa. — Mówiła byle mówić — roztargniona, zmęczona podróżą, odurzona hukiem i ruchem. Nic ją nie obchodziły jego zapytania, ani jego osoba. Wiedziała o nim, że jest cioteczym bratem jej męża, rozpieszczonym jedynakiem u matki, ogromnie bogatym, że ma opinję dobrego chłopca, ale próżniaka i niedołęgi. Zresztą, myśl jej była gdzieindziej. Wszakże za chwilę miała przestąpić próg tego nowego domu, który będzie odtąd jej domem — miała wejść w to nowe istnienie. Sześciotygodniowy pobyt w Szwajcarji i we Włoszech, wśród czarujących widoków, u boku ukochanego, w pierwszym porywie wzajemnej miłości — to był niby sen uroczy, ekstaza, upojenie, ale to nie było życie. Teraz prawdziwe życie miało się rozpocząć.

— Pani nie słucha tego co ja mówię — przerwał sobie nagle Lutek, wśród rozpoczętego znowu zdania o pałacykach i pięknych apartamentach. — Prawda, że pani nie słuchała?

— Ale owszem — uśmiechnęła się Wanda — pan mówił o staroniemieckich...

— Przepraszam. Mniejsza już o to. Ale ot! — pani ma dziwną twarz. Kiedy pani milczy, to taka sobie jak sto innych. Ale kiedy się pani uśmiechnie, to -- klękajcie: No, pani jest zupełnie ładna — więcej niż ładna! Niech się pani jeszcze raz uśmiechnie, proszę panią.

Zbliżał się do niej i śledził jej rysy. A ona zabawiona, śmiała się. — „Wszak nie mogę ciągle uśmiechać się — na rozkaz“ — mówiła.

— Słowo daję, pani ma dwie twarze! Wiesz — zawołał do wracającego Karola — zrobiłem odkrycie: twoja żona ma dwie twarze.

I chciał coś dalej mówić, ale Karol nie słuchał. Tłumaczył, że spotkał służącego Franciszka który na nich czekał, że on odbierze kufry i przywiezie do domu, a tymczasem mogą jechać. Wstali więc i zaczęli się żegnać. Ale Lutek jeszcze ich zatrzymał, aby powtórzyć Karolowi, że jedzie dziś jeszcze do Brukselli, że tam będzie uczęszczał na uniwersytetet, a potem pojedzie do Anglji i do Paryża, potem do Księstwa Poznańskiego, aby się przypatrzeć wzorowym gospodarstwom. Mama dała szczegółową notatkę i on przyrzekł, że wszystko to zrobi. Więc pocóż mówić o nim, że jest niedołęgą?

Karol roześmiał się. -- „Nie, nie. — Jak to wszystko zrobisz, to cię ogłosimy za bohatera“.

— Nie za bohatera... — ale jednak... Niewiesz, jak to przykro... tak... samemu... Nama-

wiałem mamę, żeby jechała ze mną, ale nie zgodziła się.

— Wstydź się, Lutku! coś ty za mężczyzna! Wiecznie się trzymać spódnicy...

— O, dobrze tobie mówić, kiedy masz żonę! A ja...

— A czemuś nie przyjechał na nasz ślub?

— Wiesz — miałem najszczersze chęci — ale jakoś — wybrać się nie mogłem.

— To przynajmniej pamiętaj, że tu mieszkamy, i jak kiedy będziesz przejeżdżał...

— Naturalnie — ma się rozumieć.

— Do widzenia. Szczęśliwej drogi.

— Do widzenia.

Oni wyszli na ganek, wokoło którego stały rzędami dorożki. Za niemi rozległ się ogłuszający wrzask hotelowych portjerów, wywołujących jeden przez drugiego: „Jewropa! Jewropa! Jewropa! Kontynental! Rym! Jewropa! Jewropa! A przed niemi, turkotały po kamieniach powozy, żandarmi krzyczeli na stangretów, tragarze z tłumokami rozpychali stojących po drodze. Karol był, jak zwykle mężczyźni w podróży, rozstrojony i niecierpliwy. — „Wsiadaj!“ — rzekł do żony, wskazując powóz, a sam odwrócił się, aby opłacić tragarza.

— Ja panią sprowadzę — wtrącił Lutek Korzyński, biorąc ją pod rękę — tylko, że sam nic nie widzę.

— O dziękuję! Ja mam doskonały wzrok — rzekła Wanda, zstępując z wysokiego ganku.

— A gdy wrócę — mówił on, jakby dalej ciągnąc urwaną myśl — to mię pani przyjmie swoją dobrą twarzą — dobrze? — nie tą codzienną, surową, ale tamtą — co? tą śliczną. I teraz, niech mię pani tamtą pożegna — dodał, stojąc jeszcze przy powozie, i trzymając jej rękę.

Ale Karol wsiadał, zajęty i zdenerwowany, i mówił do dorożkarza: „Nadbrzeżna! ruszaj!“

Lutek zdjął raz jeszcze kapelusz — uścisnęli sobie dłonie. I powóz znikł w ciemności.

A myśli Wandy poleciały naprzód. W życiu jej zamykała się jedna księga, rozpoczynała się druga. Zamykała się księga marzeń i pragnień — otwierała się księga obowiązków. Czuła, że jej serce bije i lęk ją przejmuje — jakaś nieśmiałość dziwna przed temi zamkniętemi drzwiami, w które wejść teraz miała. „Przecież z nim jestem“, rzekła do siebie, i wysunęła rękę, szukając jego ręki.

— Czy masz parasole? — spytał, oglądając się raz jeszcze za drobiazgami w powozie.

— Mam — odparła — i nagły dreszcz nią wstrząsnął.

Powóz turkotał głośno po nierównych kamieniach. Ją w głowie coś bolało, szumiało jej w uszach. Zdawało się, że nigdy nie dojadą. A powóz biegł po bruku przez ludne i hałaśliwe uliczki, skręcając co chwila wśród ciasnych murów, słabo oświetlonych naftowemi lampkami.

Nagle stanął. Wanda otworzyła przymknięte oczy. Przed nią ciągnęła się długa i ciemna ulica. Po jednej stronie szereg domów — po drugiej, płynąca w dole rzeka — stalowa, metaliczna pod ciemnem niebem, — smutna, złowroga. Zdala migotała latarniami linja mostu i kładła się ognistem pasmem na wodzie. Od niej wiał chłód.

— Jesteśmy — rzekł Karol, podając rękę żonie. I po chwili wchodzili razem do mieszkania, powitani u progu przez kucharkę, Magdalenę.

Mieszkanko było niewielkie, ale ładne, świeże, wykończone starannie. Meble nowe i w dobrym guście, czyste firanki, jasno palące się lampy, parę pięknych obrazów na ścianach. Zimne to jeszcze było i sztywne, nie ożywione ręką kobietą, poustawiane wedle gustu tapicera i lokaja Franciszka, ale wesołe i wygodne. Karol z Wandą obchodzili pokoje, podczas gdy Magdalena wnosiła z powozu na górę drobne paczki, zrzucając je na podłogę w przedpokoju.

— To mój gabinet — objaśniał Karol — poznajesz tę fotografję nad biurkiem?

— O, jaka wygodna sofa! A czy wolno mi będzie tu przesiadywać?

— No, nie zawsze — bywają interesanci — Ale niekiedy — o szarej godzinie... A to salonik. — Tu pewnie zechcesz wszystko przestawić, bo jakoś nieładnie.

— Tak. — I kwiatów trzeba mieć dużo — i drobiazgów trochę... A to?

— Twój budoir.

— O, jaki milutki! I cały czerwony! Mój ulubiony kolor! I z balkonem na rzekę — śliczny! Wiesz, tu będziemy najczęściej siedzieli — prawda, Karolu?

— Gdzie zechcesz. Ty tu panią jesteś — odparł z uśmiechem.

— Ja pani — a ty pan — zawołała. I nagle fala szczęścia buchnęła jej do serca, i zarzuciła mu ręce na szyję. — Mój Karolu, mój Ka-

rolu, jak nam tu dobrze będzie! Jak tu miło! jak tu rozkosznie! — mówiła, zbliżając twarz swą do jego twarzy. — Jacy my szczęśliwi! Co? prawda? szczęśliwi?

Na jego usta wystąpił uśmiech. Objął żonę wzrokiem rozkochanym i przycisnął ją mocno do siebie.

Ona powtarzała: „Prawda, że nam dobrze? że jesteśmy szczęśliwi? prawda?“

On jeszcze nie odpowiadał, tylko patrzał na jej ciemną głowę, tulącą się do niego, i uśmiechał się.

Aż z drugiego pokoju doszedł głos Magdaleny: — „Już ja, proszę pana, wszystko zniosła. Ci tylko akuratnie byli cztery sztuki?“

— Ach, jakaż nieznośna! — szepnął zniecierpliwiony. Ale odsunął Wandę i poszedł do przedpokoju.

— A ci już dawać samowar? — spytała znowu kucharka?

— Właściwie to ja powinnam tem wszystkiem się zajmować — pomyślała Wanda — to przecie mój wydział. On nie ma wcale wiedzieć o tych wszystkich nudnych sprawach.

Poszła do stołowego pokoju, gdzie od sufitu zwieszała się lampa na zastawę herbatnią i zajęła miejsce przy samowarze. „Codziennie tu zasiadać będę“ myślała, zasypując herbatę. I widziała przed sobą długie szeregi dni idących w przyszłość, na które patrzała z tego miejsca gospodyni domu, zajętego dziś po raz pierwszy. I wzrokiem prowadziła po ścianach, po talerzykach i filiżankach, po krzesłach i kredensie, zawierając znajomość z temi sprzętami, wśród których życie jej odtąd płynąć miało. I aż dziwnie, jak to wszystko wydawało się jej znajome, przewidziane, wyśnione — jak się czuła u siebie, na swem stanowisku — w swej naturalnej sferze. Zdawało się, iż obraz tego mieszkanka i tego pokoju oświetlonego płynącą z góry jasnością, i tych sprzętów i tego życia, co się przed nią rozciągało, że ten obraz leżał od dawna na dnie jej duszy, że był tam od początku w przeczuciu i przewidzeniu, tak, że gdy się stał teraz rzeczywistością, nie sprawiał zadziwienia, nawet nie wydawał się nowym.

(C. d. n.)

Z powodu katastrofy weneckiej.

(Wspomnienie z przeszłości Lwowa).

Zawalenie się przesławnej wieży św. Marka w Wenecji, jak niemniej te głosy proroków-puszczyków, którzy po niewczasie przepowiadać zwykli i dalszy ciąg katastrofy, przypominają żywo jedną chwilę z przeszłości Lwowa na początku wieku dziewietnastego. Tembardziej zaś uderza to wspomnienie, gdy patrzymy obecnie, jak na odgłos upadku wieży św. Marka ludzie tu i ówdzie ze strachem oglądać się poczynają i na swoje wieże, pomimo że dotychczas nikt nawet o nich nie wspomniał. Tak n. p. w Krakowie nikogo dotąd nie raziły zwietrzałe cegły wieży Marjackiej, a dobrze to, że choć taka katastrofa, jak w Wenecji, spowoduje restaurację i baczniejszą uwagę na ten wspaniały zabytek przeszłości.

Jak wiadomo zawaliła się dnia 14. lipca 1826 roku, o godzinie pół do siódmej wieczorem, lwowska wieża ratuszowa, która przez kilka wieków stała na tem samem miejscu, gdzie stoi wieża obecna.

W roku 1489 w czasie pobytu we Lwowie królewicza jeszcze wówczas Jana Olbrachta, położono kamień węgielny pod nową wieżę, która po rozszerzeniu pierwotnego ratusza stanąć miała na miejscu, gdzie przedtem stał kram złotnika Macieja. W trzy lata później wieża, czworoboczna

wyprowadzona została pod dach przez budowniczego Hanusza Stechera, jak to wskazywał napis pamiątkowy naniej.

Była to wieża skromna, nie bardzo estetyczna, więc monumentalny zmysł patrycjatu nie mógł na nią długo patrzeć spokojnie. Na początku tedy siedmnastego wieku sławny rajca i burmistrz lwowski, dr. Marcin Kampian, kazał znieść ją aż do wysokości czwartego piętra i na tym czworobocznym zrębie wystawił wieżę nową, ośmioboczną, krytą kopułą, a wysoką na 30 sążni. — Z niezwykłym w owych czasach pośpiechem dokonano owego dzieła monumentalnego, do którego roboty dr. Marcin Kampian napędził z całego miasta i okolicy próżniaków, włóczęgów, nierobów i siłą ich zmusił do pracy.

Wieża owa bardzo pięknego kształtu wykończoną została w r. 1619 przez budowniczego Andrzeja Bennera, wrocławczyka. U góry otaczała ją galerja, którą podtrzymywały konsole w kształcie lwów, trzymających gmerki, czyli herbiki wszystkich współczesnych Kampianowi rajców lwowskich, w połowie jej widniał kamienny orzeł polski z królewskim herbem Wazów, a smukły szczyt zakończony był złocistym lwem, herbem miasta Lwowa.

Wieża ta przetrwała wszystkie burze i nieszczęścia, które przelatywały w ciągu wieku ponad miastem, aż wreszcie w r. 1826 upadła dzięki indolencji ówczesnych lwowskich budowniczych.

Rząd bowiem austrjacki postanowił na miejscu starego ratusza, zbudować nowy, w skład którego wejść miała w całości i wieża kampianowska. Rozpoczęto więc demolować starą budowę, a przy tej sposobności do tego stopnia nadwerężono samą wieżę, że ta zarysowała się bardzo głęboko. Cieśla Kafka, widząc niebezpieczeństwo, na cztery godziny przed upadkiem zarządził wszelkie środki ostrożności.

I rzeczywiście o godzinie pół do siódmej wieczorem dnia 14. lipca, wieża runęła w stronę katedry i rozbiła się na drobne szczątki. Z powodu środków ostrożności nie było wiele ofiar w ludziach.

Zginęło tylko dwu żołnierzy, którzy wyleźli na galerję i stamtąd przypatrywali się miastu. Zginęła także piętnastoletnia córka trębacza, która właśnie wtedy, gdy zegar drugi kwadrans na siódmą wybijał, według ówczesnego zwyczaju na piszczałce gwizdała. Upadła ona razem z wieżą i zabiła się naturalnie na miejscu, ale piszczałki z rąk nie wypuściła, tak, że znaleziono ją później w tej samej pozycji z piszczałką, w kurczowo zaciśniętej dłoni.

Wobec tej katastrofy przyszło rządowi austrjackiemu nagle na myśl, że i inne wieże lwowskie w ten sam sposób runąć mogą, nawet mimo tego, że nie manipulowali koło nich wcale tego rodzaju genjusze budownictwa, którzy spowodowali upadek wieży ratuszowej. — Wyznaczono więc specjalną komisję, która miała zbadać moc i siłę wszystkich wież lwowskich. Komisja ta wywiązała się ze swego zadania w ten sposób, iż uznała wszystkie wieżyce lwowskie za dostatecznie silne — z wyjątkiem wieży na kościele Jezuitów.

Każdy kto się przypatrzy kościołowi Jezuitów od strony placu św. Ducha, dostrzeże tam małą, nieodpowiednią strukturze kościoła, basztę czworoboczną, która dziś służy za dzwonnicę. — Otóż dawniej na tem miejscu stała smukła i wysoka, najwyższa we Lwowie wieża, którą Jezuici wyprowadzili pod dach w r. 1702 i pokryli blachą z Węgier sprowadzoną. W r. 1756 osadzono na niej zegar „z wielką wygodą miasta i studentów“.

Na tę to wieżę wydała wspomniana komisja wyrok śmierci, rzekomo z powodu rysy, która okazała się na południowej stronie presbiterjum. Rys ten jednak widoczny jeszcze do dzisiaj, nie miał żadnego związku z wieżą.

W roku 1830 przystąpiono do demolacji tej wieży i przy tej dopiero sposobności pokazało się, że wieża owa stać mogła spokojnie jeszcze przez kilkaset lat. — Mury bowiem były tak silne i tak mocno zcementowane, że tylko z największą trudnością zdołano je rozebrać.

Ale bezpieczeństwu publicznemu stało się zadość — wieża znikła z powierzchni ziemi, na jej miejscu kazał ówczesny gubernator Galicji arcyks. Ferdynand d'Este, wielki przyjaciel Jezuitów, wybudować basztę dzisiejszą, na której w r. 1837 zawieszono dzwony. *F. Jaw.*

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teoryj mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

VI.

Prof. Komarow poddał badaniom naukowym florę drzew iglastych. Z jego obszernych studjów bierzemy tylko część następującą, dotyczącą cedrów:

Obecnie mamy na całej przestrzeni globu naszego ośm gatunków cedrów. Nazwy i rozmieszczenie tych gatunków są takie:

1) *Pinus arolla* Hort. Cedr europejski. Górzyste okolice Europy. (Czy nasza Limba tatrzańska jest odmianą lokalną tego gatunku, a kosodrzewina. P. arolla pumila jest skarłowaciałą jego formą, o tem nic stanowczego powiedzieć dotąd nie można. Cedr Libanonu ma należeć do gat. europejskiego).

2) *Pinus cembra* Z. Cedr syberyjski. Górzyste okolice Syberji od Uralu poczynając aż do krainy Zabajkalskiej.

3) *Pinus korajensis* Sieb. Cedr korejski. Górzyste okolice Mandżurji i Koreji.

4) *Pinus pumila* Regel. Cedr Kamczacki. Górzyste okolice porzecza morza Ochockiego i Kamczatka.

5) *Pinus parviflora* Sieb. Cedr japoński. Górzyste okolice Japonji.

6) *Pinus Armandi* Franchet. Cedr chiński. Górzyste okolice Chin w prowincji Szensi.

7) *Pinus flexilis* Games et P. Cedr amerykański wschodni. Górzyste okolice Ameryki.

8) *Pinus albicaulis* Engelm. Cedr amerykański zachodni. Górzyste okolice Ameryki.

Gatunki wymienione uważane są przez botaników za formy odrębne, za „dobre" gatunki.

Na żadnem z terytorjów wyżej wskazanych nie znajdujemy nigdzie dwóch obok siebie istniejących gatunków.

Każde terytorjum przedstawia właściwe sobie warunki klimatyczne, geo- i orograficzne.

Miejsce rozmieszczenia każdego gatunku jest wyosobnione i oddzielone od sąsiedniego przestrzenią mniej lub więcej obszerną, bądź lądu stałego, bądź morza; tak n. p. pomiędzy terytorjum cedru europejskiego i syberyjskiego zalega szeroka przestrzeń bezcedrowa Rosji europejskiej.

W faktach wyżej przytoczonych mieszczą się wszystkie warunki, jakie są konieczne dla możności powstawania, czyli wytwarzania się nowych gatunków.

Ani klimat, ani warunki geograficzne nie zmieniają się błyskawicznie, również odosobnienie pewnej grupy roślinnej bądź terytorjalnie, bądź klimatycznie, nie następuje nigdy sposobem eksplozyjnym, wszystkie te zmiany wytwarzają się powoli, a wraz ze zmianą taką warunków otoczenia przeistaczają się powoli i same formy roślinne.

Takie same warunki i taki sam proces mają miejsce przy wytwarzaniu się form zwierzęcych i ras ludzkich. Jak w czasach ubiegłych powstawały gatunki i rasy nowe, tak też i dzisiaj tworzą się one. Dla ilustracji zdania ostatnio wypowiedzianego przytoczę tu parę przykładów.

1) W roku 1419 wysadzono na wyspę drobną, zwaną Porto-Santo, położoną w pobliżu Madejry kilka osobników królika domowego, urodzonych w czasie podróży statku z Europy. Okoliczności bardzo pomyślne dla rozwoju gryzoni na Porto Santo spowodowały, że króliki rozmnożyły się w tak olbrzymiej ilości, że stały się prawdziwą klęską dla rolników i ostatecznie zmusiły kolonistów do opuszczenia wyspy. Do niedawnej chwili króliki zasiedlały wyspę rzeczoną w niezliczonych masach. Odosobnienie całkowite od pnia matczynego w Europie, warunki otoczenia zupełnie odmienne od warunków życia w dawnej ojczyźnie sprawiły, że na nowem miejscu osiedlenia, wytworzyła się z okazów gatunku europejskiego zupełnie nowa forma, wyróżniająca się od swoich prarodziców barwą sierści, rozmiarami i kształtami ciała, sposobem życia, etc. Króliki zmieniły się i duchowo i cieleśnie: z dziennych zwierząt stały się nocnemi, z łagodnych niezmiernie dzikiemi i drapieżnemi, z dużych stosunkowo bardzo drobnemi. Gatunek ten nowy nazwał prof. E. Haeckel królikiem Huxley'a (Lepus Huxley'i). Oprócz cech wyżej wyżej wymienionych, odznacza się on jeszcze tą

szczególniejszą właściwością, że się krzyżować nie może z formami królików europejskich.

Gdybyśmy teraz ten nowy gatunek albo nawet rodzaj według zdania niektórych badaczy przewieźli do Europy i pozwolili mu żyć obok gatunku dzikiego królika europejskiego, mielibyśmy ciekawe zjawisko, mianowicie współżycia dwóch odrębnych form na jednem terytorjum, tak jak to mamy bardzo często i z innymi gatunkami zwierząt naszej fauny. Tak n. p. mamy dwa gatunki wróblów, dwa gatunki szczurów, kilka gatunków myszy, dwa gatunki pardw etc. etc. Współżycie kilku gatunków na jednem terytorjum świadczy zawsze o tem, że do tubylczej formy przybyły nowe, uprzednio terytorjalnie, albo nawet klimatycznie od niej oddzielone. Fakt potwierdzający ów moment ciekawy zoogeograficzny w naszej formie mamy w historji szczura rudego (Mus decumanus) i śniadego (Mus rattus).

2.) Od czasu pierwszych prób zasiedlenia Islandji, czyli już od roku 861, gdy rozbójnik morski, norwegski N a d o d d, a w ślad za nim szwed G a r d a r, odkryli kraj ten północny, szły powoli, ale stale kolonje skandynawskie do nowej ziemi, gdzie warunki klimatyczne i geograficzne sprzyjały rozwojowi i wzrostowi osiedleńców. Kolonje rosły pomyślnie, dosięgły wysokiej kultury i bogactwa, duchowo i cieleśnie prześcigły pozostałych w dawnej ojczyźnie. Ale już od początku stulecia 14-go rozpoczyna się szereg strasznych klęsk żywiołowych, które kolejno nawiełzać poczęły nieszczęśliwą Islandję, zniszczyły one dobrobyt, bogactwo i kulturę ludności: straszne wybuchy wulkaniczne, które grozą swoją przewyższały o wiele działalność wulkanów chwili obecnej, pomór, głód, napady barbarzyńców, zarazy, zdziesiątkowały Islandczyków. Obok tego warunki klimatyczne zmieniły się powoli na niekorzyść rozwoju społecznego; znikły lasy, kultura rolna upadła prawie całkowicie, ludność musiała z konieczności przejść do stanu pasterskiego i rybołowstwa. Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, ukształciły nowy typ rasy skandynawskiej, w obecnej chwili niższy i cieleśnie i duchowo od typu pierwotnych kolonistów i różny od typu pobratymców, zamieszkałych w Europie. Wprawdzie Islandczycy, nie doszli jeszcze do tego stopnia odrębności gatunkowej, ażeby krzyżowanie z osobnikami pochodzenia europejskiego, stało się niemożebne, ale w każdym razie stanowią oni już teraz typ odmienny, mniej więcej samodzielny, przekazujący stale cechy swoje na potomstwo *).

3) Podobne przekształcanie się typów europejskich obserwujemy po części i w Ameryce. „Yankiesi“, nie stanowią już dzisiaj typu właściwego angielskiego; pomimo że odosobnienie nie było ścisłe, że panował i panuje dotąd ciągły przypływ nowych elementów z Europy, jednak mieszkańcy Stanów Zjednoczonych zmienili się nawet w tak krótkim perjodzie czasu w rasę o wybitnych charakterach duchowych i cieleśnych, naginających się już obecnie do typu autochtonów Ameryki północnej.

Nasi emigranci do Ameryki zmienić się muszą najniezawodniej i to nietylko duchowo, ale i cieleśnie, zmiany te, tak jak i zmiany królików na wyspie Porto-Santo, jak zmiana Skandynawów na Islandczyków, wytwarzały się i wytwarzać się będą powoli, niespostrzeżenie dla oka obserwatora, ale nie skokowo, nie błyskawicznie, jak sobie wyobra-

*) Historja Islandji i Islandczyków rzuca jasny promień światła na kierunek przeobrażeń klimatycznych, jakie zawitają w stosunkowo bliskiej przyszłości i do nas, w Europie. My dzisiaj stoimy na pochyłości, początkującej erę, która się zakończy nowymi lodowcami. Powierzchnia lądu w Europie północnej i środkowej, pokryje się znowu olbrzymiemi warstwami lodów. znikną lasy i parki, znikną monumenty sławy, padną posągi „półbogów“, a na miejscach, gdzie się dzisiaj rozsiada butna arogancja prusackich potomków krzyżactwa, panować będą potomkowie białego niedźwiedzia polarnego, jako godni następcy tamtych. Nic stałego na tym świecie, nic pewnego, wszystko zmienia się, przeobraża, płynie w dal nieskończoną. Gdybyśmy pamiętali o przeszłości, gdybyśmy stale mieli przed oczami to, co było niedawno u nas, gdybyśmy sobie uświadomili, jaki stosunkowo krótki czas pozostał nam do cieszenia się pomyślnością życia w Europie, może bylibyśmy potrafili stać się bardziej ludzkimi, możebyśmy rozbudzili w sobie altruistyczne uczucia i nie staralibyśmy się o to, ażeby wzorować piekło na naszych stosunkach ziemskich. Gdyby Malborczyk i Hakatyści mieli jakiekolwiek pojęcie o niedawnej przeszłości Europy i myślą umieli spojrzeć w przyszłość, gdyby byli świadomi pochodzenia człowieka, byliby najniezawodniej inaczej mówili i myśleli, ale wychowani na podstawach i wierzeniach teorji mutacyjnych, muszą być z konieczności takimi, jakimi są dzisiaj. Przekonani, że zostali ukształceni na podobieństwo Boga i że z ich rozkazu i przy ich pomocy mają dokonać wielkich czynów, dopuszczają się najnikczemniejszych, w przeświadczeniu, że są one właśnie wielkimi. Homer i Hezjod przypisywali bogom wszystkie zdrożności ludzkie. Bogowie prusaków są na wzór ich samych utworzeni, — oto koło błędne teorji mutacyjnych.

żają mutacjoniści. Na całym obszarze faktów zoologicznych, nie znajdujemy ani jednego przykładu, któryby mógł dać świadectwo o słuszności teorji de Vries'a. To też z całą stanowczością zaprzecza Prof. A. Weismann wywodom znakomitego botanika, jakoby gatunki istot ożywionych miały być wypływem jakichś wewnętrznych, rozwojowych przyczyn organizmu, i miały powstawać sposobem mutacyjnym, błyskawicznym, skokowym.

Przeciwnie, Weismann jest tego przekonania, jaki mają dzisiaj wszyscy zoologowie, że przystosowywanie się organizmów do warunków otoczenia, zmieniających się ciągle, nieprzerwanie, jakkolwiek bardzo powoli, jest główną dźwignią powstawania nowych form, głównym czynnikiem rozwoju postępowego organizmów.

Zmniejszanie się ilości zębów w szczękach u zwierząt ssących, zmiana kształtów tych zębów; łysienie, czyli utrata włosów na głowie u męskiej ludności w Europie z racji alkoholizmu i rozpusty, psucie się zębów w sferach społeczeństw cywilizowanych, skutkiem degeneracji całych pokoleń, cierpiących na chorobę zakaźną i prawdopodobny zanik zębów w szczękach u przyszłych pokoleń całej ludności narodów kulturalnych, — wszystko to, razem wzięte, uskuteczniało się, uskutecznia i będzie się uskuteczniać, stopniowo, prawie niepostrzeżenie. A jeżeli w pewnych wypadkach, jak np. przy patologicznem powstawaniu cech, zdawać się może pozornie, że pewien charakter wytworzył się mutacyjnie, to wszakże dokładniejsze badania przekonają nas najdowodniej, że tak nie jest, jak się na oko być zdawało.

(C. d. n.)

O stosunkach gospodarczych w powiecie mieleckim.

W dodatku do sprawozdania z czynności Tow. Kółek rolniczych za r. 1901, ogłosiło Towarzystwo w osobnej książeczce „Przyczynki do badań, potrzeb ekonomicznych i technicznych gospodarstw włościańskich“. Znajdujemy w tych „przyczynkach“, trzy oddzielne prace, z których pierwsza, zatytułowana: „O stosunkach rolniczych powiatu mieleckiego“, podaje bardzo ciekawe spostrzeżenia także i z poza sfery ściśle rolniczych stosunków, mające ogólne dla kraju znaczenie. Powtórzymy więc te uwagi i spostrzeżenia, pomijając szczegóły, odnoszące się wyłącznie do sposobów uprawy roli, które jedynie fachowych rolników mogą interesować.

Autor monografji powiatu mieleckiego, zwraca uwagę na zgubne skutki doszczętnego prawie wycięcia lasów. Skutkiem wytrzebienia lasów klimat powiatu jest znacznie chłodniejszy od klimatu sąsiednich powiatów, a nadto panuje tam nierównomierność opadów deszczowych, zupełnie jakby w stepowych okolicach o kontynentalnym klimacie, gdyż zabrakło lasów, naturalnych regulatorów wilgoci. Wiosna bywa mokra i zimna a początek lata suchy i upalny. Z tej przyczyny wszystkie roboty wiosenne rozpoczynają się w polu o dwa a nawet o trzy tygodnie później, niż w sąsiednich podgórskich powiatach, a latem dokuczają posuchy, które znaczne wyrządzają szkody. Jeśli deszcz nadejdzie, to najczęściej z gwałtowną burzą, ulewą, lub gradem.

Autor doradza więc ogólne i przymusowe ubezpieczanie od gradu, tudzież przymusowe zalesienie wyciętych w pień przestrzeni, bardzo bowiem niewielu właścicieli poczuwa się do obowiązku wypełniania przepisów ustawy leśnej. Jak raźno ta dewastacja lasów postępuje, dowodzi fakt, że Dr. Pilat podaje za r. 1899 w mieleckim powiecie 19.810 h. lasów, a dzisiaj cyfrę tę o połowę zmniejszyćby należało.

Te spostrzeżenia przychodzą w sam raz w czasie, gdy w Sejmie krajowym konserwatyści wystąpili z wnioskiem o nową ustawę lasową która ma ułatwić dalszą dewastację lasów, a na cały kraj ogromne klęski sprowadzić może. Przytoczyliśmy już w „Kurjerze“ zdanie znawców krajowego leśnictwa o tym projekcie stańczykowskim,

a obecnie powołać się możemy na bezstronne uwagi Tow. Kółek rolniczych, które wcale nie kieruje się partyjnymi względami. Przed rokiem jeszcze zarzucano nam w tej sprawie stronnicze uprzedzenie. Dziś stanowisko nasze w sprawie lasowej podzielają osoby i grona, którym stronniczości nikt zarzucić nie śmie.

W ogóle zauważyć można, że poglądy Stronnictwa ludowego przenikają w głąb społeczeństwa i znajdują najzupełniejsze uzasadnienie w obserwacji bezstronnej i w naukowem badaniu. Mamy tego dowody i w dalszym ciągu monografji powiatu mieleckiego. I tak między innemi, sprawozdawca Tow. Kółek rolniczych konstatuje, że lud zniechęca do asekuracji ogniowej trudność odebrania po spaleniu się zabezpieczonej sumy a „najwięcej skarg słyszeć się daje na Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, które pod rozmaitymi pozorami stara się przypadającą od niego należność uczynić jak najmniejszą“. Gdy przed paru laty ten sam zarzut podniósł w Sejmie poseł ludowy, p. Średniawski, zakrzyczano go i oskarżenia jego nazwano bezpodstawnemi.

Najciekawsze jednak są obserwacje i refleksje autora monografji co do emigracji galicyjskiej a i w tym punkcie staje on zupełnie po stronie naszych zapatrywań. W kwestji emigracyjnej bardzo szybko następuje zwrot opinji publicznej, która oczyszcza się z wielu uprzedzeń i przesądów. Niedawno w „Tygodniu“, referowaliśmy o zapatrywaniach na emigrację autora „Maszkienic“, dzieła wydanego nakładem krakowskiej Akademji Umiejętności i wykazaliśmy, że przechyla się on w zupełności do poglądow na tę sprawę Stronnictwa ludowego. To samo stwierdzić możemy o monografji powiatu mieleckiego, wydanej przez Tow. Kółek rolniczych. Emigracja tak leży na sercu autorowi monografji, że kilka razy do niej w ciągu swej pracy powraca.

Autor dowodzi, że nietylko w mieleckim powiecie, ale w całej Galicji cena ziemi ogromnie się podniosła, i „nie stoi w żadnym stosunku z dochodem, jaki dać może i przy najintenzywniejszem nawet gospodarstwie nie osiągnie się skromnego nawet procentu od wyłożonego na kupno ziemi kapitału“.

„Na tak drogą ziemię zabrakłoby jednak wkrótce amatorów, gdyby nie Stany Zjednoczone północnej Ameryki, które nietylko żywią naszą ludność, ale i do pewnego stopnia zbogacają, bo pozwalają wychodźcy zarobić około tysiąca złr. Otóż tacy to bogacze utrzymują tak wysoką cenę ziemi w Mieleckiem. Lecz niech tylko Ameryka zabroni do siebie przystępu polskim robotnikom, to wnet też spadnie i cena ziemi, nietylko w Mieleckiem, ale i w całej Galicji. Nic więc dziwnego, że ludność w Mieleckiem nazywa Amerykę swą wybawicielką i orędowniczką, do której z ufnością każdy się udaje. — Gdyby nie Ameryka, niejednemu marnie zginąćby trzeba było, — w każdej prawie mówiono mi wiosce“.

Widzimy więc, że podniesienie się ogromne ceny ziemi wcale nie stoi w związku z jej samą wartością, lecz że lud wiejski wyznacza za ziemię pewne *pretium affectionis*, że pcha go do nabycia kawałka roli: miłość, żądza tej ziemi. Tem tłumaczy się cały proces parcelacyjny, jedyny ratunek zagrożonych ekonomicznie średnich obszarów dworskich, proces rozkładowy, którego nie tylko nie da się powstrzymać, ale którego powstrzymanie, czy to przez utrudnienie emigracji, czy przez ustawowe ograniczenia, odbiłoby się ruiną materjalną dworów, bo pociągnęłoby nagły spadek ceny ziemi.. Rozsądna polityka narodowa powinna wskazywać popieranie eksploatacji Ameryki na korzyść ziemi naszej i na korzyść tych samych właścicieli obszarów, którzy w emigracji widzą jedyną przyczynę podrożenia robotnika. Lecz słuchajmy, co dalej mówi o emigracji autor monografji:

„Ten sam robotnik, który w Ameryce w krótkim stosunkowo czasie gromadzi znaczne oszczędności, we własnym kraju z pracy swych rąk wyżywić się nie może. Dopóki zatem stosunki nasze radykalnej nie ulegną zmianie, trzeba stanowczo zaniechać przeszkadzania i utrudniania emigracji, a raczej zorganizować i ułatwić ją należy, gdyż wskutek dzisiejszych utrudnień i przeszkód zarabiają na tem tylko różni werbownicy i wszelkiego rodzaju wyzyskiwacze, którzy w niemiłosierny sposób wyzyskują szukających pracy za granicą. Zresztą nie ma żadnego zgoła powodu, któryby mógł usprawiedliwić to przymusowe zatrzymywanie ludzi w domu. Tacy czasowi emigranci nietylko, że przynoszą do kraju pieniądze, ale znakomicie jeszcze przyczyniają się do podniesienia u nas kultury. Ci, którzy powra-

cają z Ameryki, są więcej wypolerowani, nabierając większego poczucia godności osobistej, pewności siebie, a zarazem poszanowania dla każdej pracy. Nie wynaradawiają się też bynajmniej, a nawet nie tracą nic ze swej nabożności“. Dalej cytuje autor tego dowody.

W innem miejscu powraca autor do tego samego tematu i stwierdza znowu, że tak zwani obieżysasowie umoralniają się i uszlachetniają w bardziej cywilizowanej Saksonji, Danji, a nawet i w Ameryce, nabierają pewnej towarzyskiej ogłady, grzeczności, poczucia własnej godności. „Zapytywałem o to, — powiada autor, — starych, osiwiałych gospodarzy wiejskich, zapytywałem tamtejszych proboszczów, inteligencję, i wszędzie odbierałem zapewnienie, że wychodźtwo tylko dodatni wpływ wywiera. Sam nawet p. starosta w Mielcu mówił mi, że Ameryka ludzi umoralnia.“

Jakże wobec tych bezstronnych wywodów, wykazujących wielki pożytek emigracji, odbija jaskrawo małoduszność sejmowej komisji, która, zdając sprawę z przedłożenia o pośrednictwie pracy, solennie się zastrzega, że biura pośrednictwa nie mają na celu ułatwiania emigracji! Ależ przeciwnie, gdyby nie zaślepienie, większość sejmowa powinna za największy obowiązek poczytywać sobie ułatwiać i popierać emigrację, a nie uważać jej za *malum necessarium*.

WASYL STEFANYK.

KLONOWE LIŚCIE.

II.

Rano.

Dzieci jadły śniadanie na ziemi, oblewały strawą koszuliny i szczękały łyżkami. Obok nich leżała matka, zbiedzona i zżółkła, z kolanami pod piersią. Po czarnych, nieczesanych włosach, spływała męka i ból; usta zaciskała, żeby nie krzyczeć. Dzieci z łyżkami w ustach zwracały się ku matce, patrzyły na nią i znów się obracały do miski.

— Semenku, jużeś nie głodny?

— Już, — odpowiedział sześcioletni chłopiec.

— To weź miotłę, pokrop ziemię i zamieć chałupę. Mama nie może się schylać, bo ją bardzo we wnętrzu boli. Nie rób dużo prochu.

— Ustąpcie się, bo nie mogę przez was zamiatać.

Matka dźwignęła się i zawlekła na pościel.

— Semenku, a teraz umyj się dobrze, i Katrusia niech się umyje, i Maryśka, i pobiegnij zaczerpnąć wody do dzbanka, ale żebyś nie wpadł do studni, nie bardzo się schylaj...

— Semenku, idź i narwij ogórków do rzeszota, żeby mama w garnku zakwasiła, bo widzę, że będę chora i nie będziecie mieli co z chlebem jeść. I narwij chrzanu i wiśniowego liścia. A nie szarp badyli, jeno rwij przy samym ogonku...

— Semenku, zdejm z płotu koszulki, żebym połatała, bo chodzicie czarni, jak wrony.

Semenko biegał ciągle, robił wszystko, co mama kazała i potrącał raz po raz młodsze siostry, mówiąc, że dziewki nie umieją nic, jeno jeść.

— One jeszcze małe, Semenku, jak urosną, to ci będą koszule prały.

— Ja się najmę, to tam mi będą koszule prali, a ich nie potrzebuję.

— Nie ciesz się, dziecino, służbą, bo nieraz będziesz płakał na to życie.

— A przecie tato wyrośli na służbie, a nic im nie brakuje.

— I ty wyrośniesz na służbie, aż skóra na tobie popęka od tego wyrostu. Ale ty, Semenie, nie gadaj, jeno zbieraj się tatowi nieść obiad. On tam musi być głodny taki, że oczy za tobą chce wypatrzeć.

— Ja muszę tatową palicę wziąść, żeby się od psów obronić.

— A jak zgubisz, to nas tato oboje wybije. I nie chodź z gołą głową, ale weź choć tatów kapelusz.

— Ten kapelusz ino na oczy lezie, że drogi nie widać.

— Wymyj dzbanek i nalej barszczu.

— Już wy mnie, mamo, nie uczcie, bo ja wiem.

— Semenku, a uważaj, żeby cię psy nie pokąsały...

III.

Po grubej warstwie prochu, nogami drobił i zostawiał za sobą maleńkie ślady, jak listki białych kwiatów. — Fi, nim zajdę, to to słońce mnie porządnie wyparzy. Ale ja se zbierę włosy tak, jak żołnierz, i bedzie mi lepiej iść.

Położył obiad na drodze, i zebrał włosy na wierzch głowy, aby je przykryć kapeluszem i wyglądać, jak ostrzyżony żołnierz. Oczy zaśmiały się, podskoczył i potoczył się dalej. Ale włosy zesuwały się z pod szerokiego kapelusza i zlatywały na kark.

— Na nic ten kapelusz; niechno ja się najmę, to wtedy sobie kapelusik...

Oblizał się tylko. Uszedł szmat drogi i znów postawił obiad na ziemi.

— Muszę se wymalować koło ze sprychami.

Siadł w prochu na środku drogi i ciągnął około siebie kijem, a potem rysował w kole promienie. Wreszcie zerwał się, skoczył poza obwód i pobiegł dalej bardzo ucieszony.

Do każdych wrót się zakradał, zazierał, czy na podwórzu nie ma psa, i dopiero wtedy przebiegał prędziutko. Z jednego obejścia wybiegł pies i puścił się za nim. Semenko ze strachu wrzasnął i siadł razem z obiadem. Kij upadł także na ziemię. Długo siedział skulony, czekając psa, żeby kąsał. Potem odważył się spojrzeć i zobaczył nad sobą czarnego kundysa, który stał przy nim spokojnie.

— Na, na, cygan, naści kuleszy, a nie kąsaj, bo to bardzo boli, a twój gazda bedzie musiał zapłacić strof. To on ci nogi połamie, za ten strof. Bedziesz widział!

Szczypał z kuleszy po kawałku, rzucał psu, i śmiał się, że ten chwyta w powietrzu. Pies miał otwarty pysk i on sobie też usta otworzył.

— A ty czyj, szubienniku, co psy po drodze karmisz, a w pole co poniesiesz?

I jakaś kobieta kałatnęła go dłonią w kark.

— Jakże to, jeszcze mnie bijecie, jak mnie pies chciał rozedrzeć!

— A czyjże ty, taki grzeczny?

— Ja Iwana Piotrowego, ale mama mieli dziecko i słabi, a ja muszę nieść obiad, a mnie psy kąsają, a wy mnie jeszcze bijecie...

— Oj, straszniem cie biła... Gdzież ty niesiesz jeść?

— Tatowi niesę, na łan, koło stawu.

— To chodźże ze mną, nędzo, bo ja tam też obiad niesę.

Poszli razem.

— A kto obiad warzył?

— Mama warzyli, bo ja jeszcze nie umiem, a Maryja i Katarzyna, to jeszcze mniejsze odemnie.

— To mama nie słabi?

— Czemuby nie słabi? Tak się wiją po ziemi, tak stękają, że aż!... Ale ja za nich robię.

— O, — jaki robotnik!

— Wy nie wiecie, i tak gadacie. A no zapytajcie sie mamy, jaki ja mądry! Ja cały „ojczenasz“ umiem...

Kobieta rozśmiała się, a Semenko ruszył ramionami i zamilkł. Za nim biegł pies, a on mu niby to rzucał kuleszy i wabił za sobą.

IV.

W trzy dni później.

Na środku izby siedział Semenko i siostry, i stało korytko z maleńkiem dzieckiem. Przy nich miska z zielonymi, ukiszonymi ogórkami i chleb. Na pościeli, leżała matka, obłożona świeżemi wierzbowemi gałązkami, a nad nią wrzał rój much.

— Pojedzcie se, i siedźcie cicho, bo ja, poniesę dziecko do Wasylichy, żeby nakarmiła. Tato kazali, żeby nieść rano, w południe i pod wieczór, a wieczór oni sami już przyjdą.

— Semenku, a nie przełam dziecka.

— Ja myślał, żeście spali. Tato kazali wam dawać zimnej wody i bułkę do jedzenia. Maryja taka grzeczna, że porwała tę bułkę i już raz ukąsiła, alem ją zbił i odebrał. Będziecie jedli?

— Nie chcę.

— Tato wyszukali jeszcze świeczkę i powiadali, że jak będziecie umierać, to żeby wam dać do rąk i zaświecić. Kiedy ja nie wiem, kiedy dać...

Matka popatrzyła na syna wielkiemi, błyszczącemi oczyma. Bezdeń smutku, wszystek żal i bezsilny strach zeszły się razem w tych oczach, i uro-

dziły razem dwie białe łzy. Wybiegły na powieki i zamarzły.

— Tato też rano w izbie płakali i bili w odrzwia głową. Zapłakani, wzięli kosę, i tak poszli.

Wziął dziecko i wyszedł w pole.

. . . .

— Semenku, żebyś nie dał Katrusi, Maryśki, i Wasylka macosze bić. Słyszysz? Bo macocha bedzie was biła, od miski odganiała, i nie da wam białych koszulek.

— Ja nie dam i tatowi każę.

— Nie pomoże nic, synku mój najmilszy, dziecino moja najzłotsza! Jak wyrośniesz, żebyście się między sobą bardzo kochali, bardzo, bardzo!.. Żebyś im pomagał, żebyś ich nie dał krzywdzić.

— Jak ja bede służył, i bede duży, to ich nie dam, ja bede do nich co niedzielę przychodził.

— Semenku, żebyś prosił taty, że mama nakazywała, żeby was kochał...

— Jedzcie bułkę.

— Śpiewaj dziecku, niech nie płacze.

Semenko kołysał dziecko, ale śpiewać nie umiał. A matka otarła dłonią suche usta i zaśpiewała.

Słabym, urywanym głosem wylewała się jej dusza i po cichutku, spadała między dzieci, całując je po główkach. Ciche, niewyraźne słowa mówiły, że po pustem polu rozwiały się klonowe liście, i nikt ich pozbierać nie zdoła, i nigdy one nie zazielenieją. Pieśń usiłowała wydostać się z chaty, i pustem polem lecieć za liściami...

Tłum. *W. O.*

URYWKI.

„Usiłuj ożywić w sobie zdolność do wysiłku przez codzienne chociaż drobne, dobrowolne ćwiczenia. Znaczy to: bądź ascetą lub bohaterem w drobnych niepotrzebnych wypadkach, czyń cokolwiek codziennie lub co drugi dzień, tylko dlatego, że wolałbyś postąpić inaczej — a wtedy, gdy przyjdzie godzina strasznej próby, zastanie cię ona spokojnym i przygotowanym do jej zniesienia. Ascetyzm tego rodzaju podobny jest do ubezpieczenia domu i dobytku. Nieraz ciężko człowiekowi zapłacić składkę asekuracyjną — i być może, że nigdy mu ona się nie zwróci. Ale jeżeli nawiedzi go kiedykolwiek pożar, to wnoszone opłaty ubezpieczeniowe wybawią go z ruiny. Tak samo rzecz się ma i z człowiekiem, który przez codzienne ćwiczenie wdrożył się w skupienie uwagi, w czynne zadowolenie chcenia, w odmawianie sobie niepotrzebnych rzeczy. Stać będzie jak twierdza, kiedy naokoło niego wszystko chwiać się będzie i kiedy jego bardziej czułostkowe usposobieni towarzysze będą pomiatani, jak plewy w młocarni“.

„Sami przędziemy sobie los nasz zły lub dobry, i nic nigdy nie ginie. Każdy najsłabszy nawet przejaw cnoty lub występku pozostawia chociaż najsłabszy ślad po sobie. Pijak Rip Van Winkle w sztuce Jeffersona tłumaczy się sam przed sobą z każdorazowego upicia: to się nie rachuje tym razem. Zapewne on tego może nie rachować, i może miłosierne Niebo mu tego nie porachuje, ale porachuje mu się to niemniej przeto. Tam w jego komórkach i włóknach nerwowych drobiny układu nerwowego porachują mu je, zarejestrują i zapiszą na użytek następnej pokusy, która pojawić się nie omieszka. Nic z tego, co robimy, biorąc literalnie, ściśle naukowo, nieprzepada.“

„Tak samo, jak stajemy się nałogowemi pijakami przez pojedyncze a liczne upicia się, tak samo stajemy się świętemi w etyce, autorytetami, doświadczonemi w życiu i nauce — przez pojedyncze czyny i godziny pracy“.

Wiliam James. **Nałóg.**

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Napad Tatarów na Lwów w r. 1695*. Str. 47, przez Aleksandra Czołowskiego.

Napady Tatarów na południowe kresy ziem polskich były zjawiskiem częstem w naszej historji, powtarzały się one bowiem aż do XVIII wieku co lat kilka, siejąc na znacznych przestrzeniach pożogę i spustoszenie. Rzecz naturalna, że powstrzymywały one rozwój kulturalny znacznej części ziem polskich i województwa ruskiego, wołyńskiego i podolskiego i wpływały na ukształtowanie się stosunków polsko-ruskich. Z tego względu napady tatarskie zasługują na uwagę historyków. Napad Tatarów na Lwów w 1695 r. był już raz przedmiotem opracowania, przed kilkoma laty poświęcił mu prof. Finkel monografję historyczną. Obecnie p. A. Czołowski, znakomity znawca naszych archiwów, ogłosił drukiem pracę, opartą na nieznanych dotychczas źródłach, które znalazł w aktach Archiwum miejskiego, Towarzystwa strzeleckiego i w kronice lwowskiego kolegjum Jezuitów. Autor umie odsłaniać dawne życie z pyłu archiwalnego i dał nam barwny opis napadu kilkudziesięciotysięcznej rzeszy tatarskiej na Lwów, napadu, któremu jednak z powodzeniem stawiło czoło kilka tysięcy rycerstwa polskiego, mieszczaństwo lwowskie i chłopi przedmiejscy.

Książeczka p. Czołowskiego jest napisaną popularnie, powinnaby więc znaleść szerokie rodpowszechnienie.

Wł. St.

*

L. Tołstoj. *Zagadnienia seksualne*. Tłumaczył A. W. Lwów 1902. Księgarnia Polska. Str. 110.

Społeczeństwa, których poziom moralny obniżył się, zwłaszcza w sprawach, ściśle złączonych z zagadnieniami seksualnemi, powinny sobie wziąć wymienione pismo Tołstoja za drogowskaz życiowy. Rzecz ta słaba nad wyraz pod względem strony formalnej, stoi wysoko ideowo. Tem większe jej znaczenie, że porusza sprawy, tyczące się ogółu ludzi cywilizowanych. „Zagadnienia seksualne“, będące wyjaśnieniem tendencji, jaką Tołstoj zawarł w „Kreutzerowskiej Sonacie“, przedstawiają wiele codziennie wydarzających się faktów, uchodzących w oczach ogółu za uczciwe, jako postępki nawskróś niemoralne, nieetyczne, jako sprowadzające duchowe zniszczenie danych społeczeństw za sobą. Wnioski, jakie każdy trzeźwo myślący i dbający o rozwój kulturalny narodu musi nieodbicie wyciągnąć z tej broszury Tołstoja, są nad wyraz smutne i bolesne. Może godzina myśli nad nią da bodaj u poszczególnych osobników rezultat dodatni.

St. Zdz.

PISMA. *Z prasy nielegalnej*. Doba niniejsza to okres roboty nielegalnej w zaborze rosyjskim na szerszą skalę i w większych rozmiarach prowadzonej, niż to miało miejsce kiedykolwiekbądź u nas, nawet w przededniu powstań naszych. Pracowano wówczas dla bezpośredniego wybuchu, dziś pracują u nas dla wytworzenia tej świadomości narodowej i społecznej, dla braku której wybuchy nasze nie osiągały powodzenia. Dawniejsza emigracja tylko dorywczo i z wielkiemi ofiarami w ludziach oddziaływała na zabór rosyjski, stosunkowo słabo znajdując tam posłuch; po za nią nie było zastępu działaczy w kraju. Teraźniejsza działalność nielegalna w zaborze rosyjskim opiera się na siłach krajowych, emigranci stanowią tylko korpus piśmienniczy, ułatwiający wytworzenie prasy i wogóle literatury, zakazywanej przez carat.

Najstarszem pismem nielegalnem w zaborze rosyjskim, wychodzącem pomimo całej czujności władz rosyjskich, pismem, którego byt nie został zniweczony przez zabranie drukarni i aresztowanie redakcji w roku 1900, jest „R o b o t n i k“, organ polskiej partji socjalistycznej. Pismo to jest zwykle świetnie redagowane. „Robotnik“ posiada jeszcze sakramentalną, wytartą jak zużyty szeląg formułkę: „Proletarjusze wszystkich krajów łączcie się!“, ale czuć jasno, że nie na urzeczywistnieniu tej pobożnej zasady redakcja tego pisma buduje przyszłość robotników polskich i kraju. W 45 numerze tego pisma spotykamy artykuł o s p r o w a d z a n i u r o b o t n i k ó w z R o s j i, w którym czytamy następujące ustępy:

„W Polsce i na Litwie tysiące głodnych gotowe chwycić się jakiegokolwiek zajęcia, byleby wyżywić siebie i rodziny, a tymczasem rząd do robót publicznych sprowadza robotników z Rosji. Tak jest przy budowie kolei kaliskiej, to samo się dzieje przy nowej kolei Siedlce-Bołogaje, której znaczna część znajduje się w Królestwie i na Litwie“.

„Rząd najwidoczniej stara się, żeby ten napływ robotników rosyjskich do naszego kraju był jaknajliczniejszy. W pismach czytaliśmy, że mają być urządzone trzy giełdy pracy w celu kierowania wychodźtwem zarobkowem włościan rosyjskich: dwie mają być na południu, a jedna w Królestwie. Giełdy pracy, to w Europie zachodniej pożyteczne instytucje, mające na celu pośrednictwo w wyszukiwaniu zajęcia; są one tam zarządzane albo przez robotników samych, albo przez rady miejskie. W Rosji rządowe giełdy pracy będzie to rodzaj „targu na bydło“, gdzie będzie się handlowało tanią siłą roboczą włościan rosyjskich“...

Niedawno polska partja socjalistyczna wydała pierwszy numer „G a z e t y L u d o w e j“, przeznaczonej dla włościan. Znany jest sakramentalny zarzut socjalnej demokracji, czyniony partjom ludowym, że sobie nie obierają pewnej, ściśle określonej kategorji włościan, na które oddziaływać pragną, przyczem zapomina się, że

polityk, mający do zrealizowania wielkie cele polityczne, winien skupiać możliwie liczne grupy przez wysuwanie interesów je łączących. System rusyfikacyjny, ucisk fiskalny, gwałty i bezprawia urzędników, odczuwane przez różne warstwy ludowe, mogą być w zaborze rosyjskim cementem, spajającym owe warstwy w jedną partję polityczną. Zrozumieli to redaktorowie „Gazety Ludowej“. We wstępnem słowie tejże gazety czytamy:

„Z gazet, wydawanych w Warszawie, dowiedzieć się można wiele pożytecznego, lecz o najważniejszych dla nas, włościan-polaków, sprawach gazety te pisać nie mogą. Cenzura moskiewska zabrania im pisać prawdę o tem, co nam najwięcej dolega. Naród nasz jest w niewoli. Moskal gnębi nasz język ojczysty i naszą religję. Urzędnicy carscy okradają nas i ciągłe nam gwałty czynią. Prawa, jakie rząd moskiewski wydaje, są złe i niesprawiedliwe, a i tych praw nawet rząd nie przestrzega. Tak naprzykład ustawa gminna orzeka, że do zebrania gminnego należy wybór pisarza, pomimo to pisarza naznacza zawsze naczelnik powiatu, nie pytając się wcale gminy o zdanie. Podatki są ogromnie uciążliwe, my, Polacy, płacimy trzy razy tyle podatków, co Moskale, a z pośród narodu polskiego największy podatek płacą włościanie. Zarobki na folwarkach są za małe, ażeby z nich mógł człowiek z rodziną przyzwoicie wyżyć. Car moskiewski wyciąga od ludu polskiego co roku 70 milionów rubli podatku. Ale to wszystko idzie tylko na utrzymanie urzędników-moskali, którzy do ziemi polskiej tysiącami z pracy naszej bogacić się przychodzą. Choć tyle płacimy, że aż nadto starczyć może na wszystkie potrzeby krajowe, to jak trzeba drogę naprawić, most zbudować, albo szkołę postawić, musi gmina wszystkie koszta sama ponosić“.

Gazeta też zwraca się do ludu wiejskiego, „zarówno do gospodarzy, pracujących na własnym zagonie, jak i robotników, służących po folwarkach“.

Pierwiastku socjalistycznego, ideałów kollektywistycznych, doktryny o nieuchronnem bankructwie własności chłopskiej, „Gazeta Ludowa“ nie przejawia. Walka z rządem i walka ekonomiczna ludu z wyższemi klasami dla zdobycia lepszych warunków bytu — oto program „Gazety Ludowej“, wydawanej przez P. P. S.

Wł. St.

SZTUKA. *Ekslibrysy polskie.* Coraz bardziej ożywiony ruch na polu sztuki dekoracyjnej, który, wyszedłszy z Anglji, ogarnął powoli całą Europę i do nas wreszcie się przedostał, spowodował, że zaczęto i u nas zajmować się wyszłym już prawie zupełnie z użycia ekslibrysem, którym dawniej, w Niemczech zwłaszcza, nie pogardzali wcale tacy mistrze, jak: Dürer, albo Holbein, a później n. p. nasz Chodowiecki (ob. specjalnie działowi temu poświęcony tom monografij Knackfussa). Oto świeżo ogłosiło krakowskie Muzeum Narodowe konkurs na ekslibrys dla swej bibljoteki. Konkurs ten wprawdzie nie wypadł zbyt pomyślnie (pierwszą nagrodę otrzymał na nim nieszczególny jako pomysł i wykonanie projekt p. Bukowskiego, drugą — bez porównania lepszy, ale mniej celowi swemu odpowiadający pomysł p. Mehoffera), niemniej jednak obudził wśród ogółu pewne zainteresowanie dla samej rzeczy i spowodował, że zajmować się poczęto gorliwie dawnymi ekslibrysami polskimi. Oto niedawno temu umieścił „Tygodnik ilustrowany“ ciekawy artykuł w tej kwestji pióra p. Gomulickiego, który jest także zapobiegliwym badaczem na polu starożytności ojczystych, a świeżo w przedostatnim numerze tego pisma w tej samej kwestji zabiera znów głos p. Sadowski. Większość badaczy jest zdania, iż ekslibrysy w prawdziwem tego wyrazu znaczeniu powstały dopiero w wieku XVI-tym, a mianowicie w postaci małych karteczek, które nalepiano na wewnętrznej stronie okładki, ażeby tym sposobem zaznaczyć, iż dany egzemplarz dzieła pochodzi „z ksiąg“ *(ex libris)* wymienionego właściciela. U nas, zdaje się, że ekslibrysy ukazały się na samym schyłku XVI-go, lub też w zaraniu stulecia następnego. Pierwotnie są to same herby lub same napisy, albo też napisy i herby w połączeniu. Pierwszym ekslibrysem polskim jest niewątpliwie ekslibrys prymasa Stanisława Karnkowskiego, znajdujący się na dziełach księgozbioru, darowanego pod koniec wieku XVI-go kolegjum jezuickiemu w Kaliszu. Wyraźnie wymienioną datę posiada pierwszy ekslibrys, umieszczony na dziełach bibljoteki Andrzeja Lisickiego, darowanego tym samym Jezuitom w r. 1636. W wieku XVII-tym posiadamy już w Polsce ekslibrysy, odznaczające się pięknym rysunkiem i względnie starannem wykończeniem. Polska w XVIII-tem stuleciu posiadała już liczne piękne, stylowe i artystyczne ekslibrysy, nie naśladując bynajmniej w tem zagranicy, bo w kraju mieliśmy odpowiednie siły do zaspokojenia choćby najwybredniejszych w tym kierunku wymagań. Pp. Gomulicki i Sadowski dołączają do swych artykułów szereg reprodukcyj z różnych piękniejszych lub też bardziej interesujących ekslibrysów polskich, wśród których spotykamy ekslibrysy Węgierskiego, Niemcewicza i t. p. Pierwszy ekslibrys z napisem polskim należy, zdaje się, do Kaspra Meciszewskiego, sekretarza Stanisława Augusta. Do ekslibrysu używano u nas obok drzeworytu głównie litografji. Obszerną monografję o ekslibrysach polskich z XVII-go i XVIII-go wieku, wygotował świeżo p. Wiktor Wittyg, znany archeolog warszawski, właściciel największego dziś może zbioru ekslibrysów polskich, liczącego około 150 okazów, pochodzących z bibljotek publicznych i prywatnych, ze zbiorów miłośników dawnych pamiątek polskich, tudzież z Muzeum raperswylskiego. Wyglądamy z niecierpliwością tej publikacji, znajdującej się już pod prasą.

A. C.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8